ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY



REDAKCJA i
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

№ 47
WARSZAWA
DNIA 23 LISTOPADA 1913 R.

DWIE KULTURY.

Od długich wieków już żyją o miedzę od siebie, nie ustając nigdy w sporach granicznych, niby swarliwi sąsiedzi. Jedni — potomkowie dawnych władców świata, otrzymali w spuściźnie od swych przodków, jeśli nie pełne dziedzictwo krwi, to przynajmniej język i cywilizację. Drudzy — wyszli z lasów głębokich, szczwani niegdyś i przepędzani z miejsca na miejsce przez rzymskie legiony, później klęską swych dawnych ciemięzców wzmocnieni, nie pamiętają dziś czasów, kiedy surowe skóry zwierząt służyły im na odzież.

Ci — pokaźni liczbą, mocni siłą oręża, karnością i uporem: tamci — ufni w potęgę tradycji, przepojeni słońcem, podobni drzewom starodawnym, które korzeniami tak głęboko wrosły w ziemię, że ich żadna przemoc brutalna wytrzebić nie zdoła. Od wieków walczą między sobą o panowanie nad światem.

Walka to wyroczna, nieunikniona, z tych, których wyniki: decydują o losach ludzkości. Kiedy pod Austerlitz i Wagram, pod Waterloo, przeciw szeregom szły szeregi, kiedy grzmiały armaty pod Jeną i Sedanem, zmagały się nie koalicje, nie narody, lecz dwa żywioły: dwie kultury, dwa światy. Świat germański krzyżował oręż ze światem łacińskim.

Te boje krwawe były tylko okrutną szermierką, popisem zręczności przed oczyma Europy. Wobec kultury klęski wojenne były dla Francji porażką tylko w turnieju zapaśniczym, dla Niemiec — kosztowną reklamą. Bój istotny na innym toczył się terenie: zmagała się myśl z myślą, walczył ład z ładem, aby zdecydować, która z dwuch cywilizacji promieniować będzie wyłącznie na świat cały. I choćby już nigdy obydwa narody nie wystąpiły przeciwko sobie z orężem w ręku, walka głucha, podziemna nie ustanie. Bo tak chce historja: ludzkość znosić może tyranję jednej tylko kultury; wobec innych pozostaje jako widz, obojętny, przychylny, lub wrogi.

Tak walczył niegdyś Rzym z Grecją. Lecz sam będąc prawowitem dziecięciem Hellady, walczył z nią tylko dopóty, póki nie wessał w siebie wszystkich soków żywotnych, jakich mógł od niej zaczerpnąć. A później pomiętą i do cna zużytą rzucił na pastwę barbarzyńców, którzy z gleby już wycieńczonej wydobyli niby kwiat o dziwnych kolorach na zgniłych moczarach wyrosły — Byzancjum.

Inaczej rzecz się ma z walką, jaką od pół tysiąca lat toczą ze sobą kultura łacińska i germańska. Tu zmagają się dwie rasy, z jednego wprawdzie niegdyś w niepamiętnych czasach wyszłe szczepu, ale tak daleko od siebie odbiegłe, że niezdolne się stały zrozumieć się wzajemnie. Między niemi wszystko jest obce: tradycje, obyczaje, upodobania, walory myślowe. Te dwie kultury nie mogą zlać się w jedną harmonijną całość, dopełniając się wzajemnie, gdyż są jak woda i oliwa, które pomięszać się ze sobą nie dają. Nie pomoże tu żadna przemoc zbrojna, żadne zdobycze terytorjalne

nie rozwiążą sprawy: dowodem Alzacja i Lotaryngja, która, nie bacząc na panowanie pruskie, pozostała językiem, duchem i tradycją nawskroś francuska.

U podstaw stoją różnice zasadnicze w organizacji duchowej, obu ras. Gdy u narodów łacińskich pierwszy przychodzi czyn, jako mus życiowy a po nim dopiero następuje myśl konsekwentna i logiczna, narody germańskie postępują, przeciwnie, od myśli do czynu. Tam — główną rolę gra wiara w nieomylność instynktu, który odkrywszy całokształt harmonijny, przez myśl świadomą prowadzi do szczegółu: tutaj — na plan pierwszy wysuwa się ufność w niezawodną celowość przesłanek logicznych, w mrówczą pracę rozumu, z niepokaźnych cegiełek budującego kolosy. W ten sposób, w dziedzinie techniki, z Francji wyszło wszystkie niemal wielkie wynalazki nowożytne, ale większość udoskonaleń i zastosowań do potrzeb życia codziennego zawdzięczamy Niemcom.

Jeśli jednak w dziedzinie wynalazków technicznych, porozumienie jest możliwe, staje się ono zgoła nieprawdopodobne w sprawach dotyczących życia duchowego. W literaturze i sztuce ofiary, jakie obydwie rasy złożyły kulturze wszechświatowej są tak różnego pokroju, że niesposób przykładać do nich żadnej wspólnej miary. Narody germańskie niezdolne są zrozumieć całkowicie Racine'a, podobnie jak Francuz, Włoch, lub Hiszpan, musiałby skoszlawić własną naturę, aby przyjąć bez zastrzeżeń Wagnera.

Poza tem istnieją fluktuacje, które wśród powszechnej niwelacji współczesnej, łacno przeszczepiają obyczaje, formy zewnętrzne, właściwe jednemu narodowi, na grunt obcy. Gdy przy stolikach kawiarni paryskich Francuzi z ciężkich kufli popijają piwo, w salonach Berlina, w niemieckich kielichach rubinem i złotem kryształą się francuskie wina. I ono może, gdy zaszumi w głowach niemieckich, mozolnem myśleniem zahukanych, budzi w nich tęsknoty do owej słonecznej Kampanji, czy Burgundji, pod której niebem, w krągłych gronach zamknięte, przeżyło swą młodość. A Francuz, gdy puhar wina Reńskiego wypadkiem w górę podniesie, woła za Musset'em:

Nous l'avons en votre Rhin allemand:
Il a tenu dans notre verre...

Bo Francuz nie *tęskni:* w sercu jego, podobnie jak w słowniku, niema miejsca na tę hydrę krwiożerczą narodów Północy.

I oto w sercu Europy, na dwuch krańcach stoją dwie strażnice. Jedna — niby potężna latarnia morska, z której reflektorów od pięciu wieków leje się światło na wszystkie strony świata: to Paryż. Pod wpływem swoim jednoczy wszystkie kraje, gdzie rozbrzmiewała niegdyś mowa żołnierzy Cezara, promieniując i na te, do których katolicyzm wniósł kulturę łacińską. Poza nim, w mgły przeszłości spowity, zdetronizowany monarcha:

...w Rzymie zwyciężonym Rzym niezwycię-
[żony,
To jest ciało w swym cieniu, leży pogrze-
[biony.

A bliżej nas, druga strażnica, której szlachectwo liczy ledwo półtora stulecia: nowożytny dziwoląg, gdzie piętrzą się potworne kamienice, a ludzie chodzą po ulicach, jak na głos komendy — to Berlin. Niby okrzyk *baczność!* wielkiemi zgłoskami na mapie wypisany.

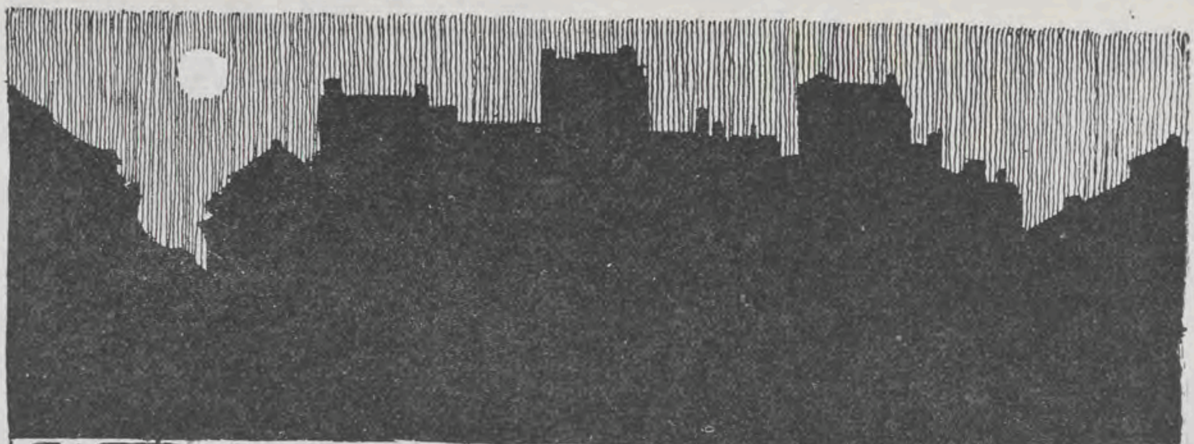
Toczy się walka podziemna, wytrwała i zażarta.

Trzeba wznieść się niezmiernie wysoko, aby spocząć w obszarach, gdzie żaden hałas nie zakłóca pogody ducha ludzkiego.

Auf allen Gipfeln ist Ruh...

Na szczytach dopiero jest cisza. Nie dochodzi tam zgiełk boju, który toczy się na nizinach. Dotrzeć do nich jest przywilejem geniusza. I geniusz tylko ma prawo stanąć poza wszelką kulturą, rasą i narodem: należy bowiem do ludzkości.

Zdzisław Milner.



STARE MIASTO

Rys. Henryk Czerny.

O relikwiarzu Warszawy — Stare Miasto — ze czcią do ust cię przyciskam! Gdy zajdę w twe staroświeckie ulice, wązkie i chłodne, podobne do piwnic, z których wino wytaczano, myśli moje nabierają wagi i smutku. Uważnie spoglądam w oczy dzieci twoich teraz. Są blade, szare, zmęczone trochę, że oddychają powietrzem twych sklepień nizkich i przestarzałych. Od muru do muru, od bramy do bramy coś jakby cień śmierci tu się skrada. Przekupnie stoją w wejściach do małych sklepów i apatycznie patrzą na bruk lub na gołębie, kołujące w powietrzu. Biedna kobiecina, żebraczka czy nierządnica, wypowiada głośno jakiś monolog krzykliwy nędzy oszołomionej, nieszczęścia zbyt rażącego, aby mogło wejść do poematu skromnego poety. Gromada żaków szkolnych otoczyła nieszczęśliwą. Chwytają ja ją za brzegi chustki poddartej, pokazują jej język, skrobią jej marchewkę na palcu, poplamionym atramentem.

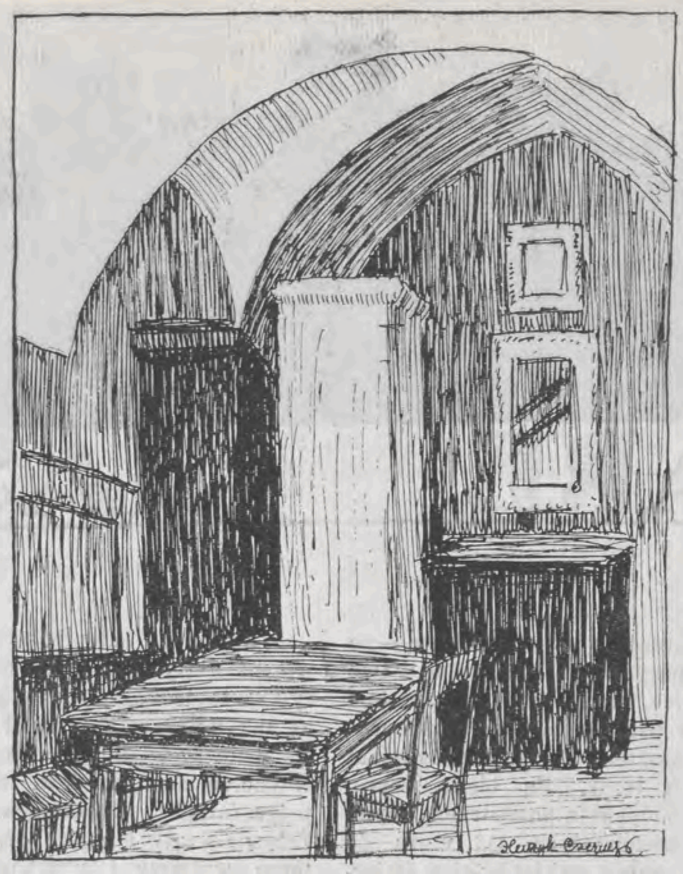


Henryk Czerny. Przekupka staromiejska.

Kupcy ze sklepików uśmiechają się życzliwie na żarty i docinki małych łobuzów. Rozrywka to jednak—trochę krzyku i pustoty w ulicy tak milczącej i napół pustej. Czasem ktoś się zanurzy w długą, ciemną kichę sieni i znika w czeluściach schodów, na których dzień i noc pełga lampka, wskazująca drogę stopie lokatora. Żelazne kraty i ganki, drzwi okute, klamki misterne, wykusze i przybory, pochody bachiczne, pawie i pelikany które rozkrwawiają swe piersi, okręty, które świadczą o krajach zamorskich, głowy murzyńskie i święci błogosławiący, cytaty pobożne i gościnne—oto ballada twoja, Stare Miasto, ballada, która cicho szemrze i w jasny dzień jesieni i w noc miesięczną. Twe wielkie kościoły stoją niemal opustoszałe. Tylko stare kobiety spowiadają tu Bogu swe biedne duszyczki udręczone. Głucho dudni głos przechodnia po posadzkach kamiennych. Taka tu cisza i nieruchomość i błyskanie kolorów w witrażach i lśnienie lampy przed ołtarzem i jarzenie się kryształów świecznika, na którą padł promień słoneczny i rozłamał się tęczowo. Jak obce tu słońce! Jest to doprawdy gość z innego świata — zbyt wesoły i płochy! Tu raczej cień przystoi i chłód głębokiego boru w zadumie, Sarkofagi i tablice marmurowe mówią, że śmierć już przeszła i czas się zatrzymał, lecz piękny stary zegar odważnie i dźwięcznie liczy chwile uciekające... Tak, i tu jesteśmy w potoku czasu, a wieże, patrzą na różane szeregi jutrzenek i na słońca, staczające się w otchłanie wieczoru.

PRZYJAŹŃ — NA SARKOFAGU.

O święte uczucie przyjaźni — ty, co łączysz mężczyzn na długie braterstwo doli i niedoli! Ty ich usadzasz nieraz na ławie kamiennej i każesz im długie toczyć rozmowy przy łagodnym szumie drzew lub gdzieś nad wodą, podczas gdy żagle zjawiają się i nikną w dali — w słońca roztopie, a oni zagrzani sporem szlachetnym nie



Henryk Czerny. **Fragment kawiarni na Starem Mieście.**

czują, jak upływa niepowrotna godzina. Ty rodzisz zamiary wspaniałe i obietnice święte! Ty zagrzewasz serca! Pod twojem tchnieniem przyjaźni skromny pokój zamienia się w świątynię, gdzie dwie dusze odsłaniają prze sobą tajemnice najgłębsze, które tylko szeptem odważają się sobie powierzać. Ty widzisz kroki dwuch ludzi przez miasto w późne wieczory—daleko, tam gdzie samotność ich głębszą być może, zatrzymujesz ich gdzieś na wielkim placu, aby mogli wyrzucić z piersi wzruszonej wiersz Danta:

„Tędyśmy wyszli w świat powitać gwiazdy".

W starej świątyki S. Jańskiej zatrzymałem się przed sarkofagiem. Na płycie z żółtego marmuru leżą biskup i rycerz w zbroi. Ich oczy przymknięte tylko — jakby brzemię śmierci lekkie było dla nich, a tajemnica jej głęboka i pogodna. Z jaką ufnością oparł biskup rękę na ramionach rycerza! Tak się przyjaźnie opletli! Tak śpią razem bracia! Tak śpią przyjaciele!

SAM JEDEN WŚRÓD MURÓW.

O ty marynarza mały, któremu morze wyschło i nie masz gdzie puszczać okręcików papierowych! Dopiero gwałtowna ulewa, napełniając rynsztoki, napełnia również twe serce dziecinne gwałtowną radością: oto masz morze! Okręty twoje mają się gdzie rozbić! Nie rzadkie to święto. Zazwyczaj—wstajesz w suterynie, wychodzisz na podwórze, siadasz na schodkach kamiennych! O biedne podwórze! Niema tu nic coby napełniało cię zachwytem! Znasz dobrze wszystko: małe okienka do piwnic, schody, z wygładzoną poręczą, po której zjeżdżasz gwałtownie w dół, przymykając oczy. Znasz czerwoną spłowiałą płachtę, którą zasłania swe szybki panna, wychodząca co wieczór na ulicę w bucikach skrzypiących. Znasz latarnię, którą o zmierzchu zapala stróż: szybki jej obluzowały się i drżą lekko, gdy wielki dzwon zwołuje na mszę! Przemyślałeś to wszystko, siedząc na schodach, z twarzą opartą na ręku! Nie, to już nie zachwyca twego serca pięcioletniego! Chciałbyś coś jeszcze! Twa matka zgięta nad balją nie widzi. Wymykasz się na ulicę. Z radością przypatrujesz się dwum psom, które się obwąchują. Wkraczasz na rynek jak tryumfator. Gotów jesteś za swój tryumf drogo zapłacić. Z zachwytem przypatrujesz się serom i śmietanie w dzbanach, śmiejesz się do czerwonej marchwi... Zbyt jesteś rozbawiony! Dlatego pociągnąłeś za ogon koguta, siedzącego w koszu. Kogut gdaknął gniewnie... Już jesteś daleko... Już marzysz o tem, by zbiedz po schodach kamiennych... O nienasycony mały włóczęgo! Ty na Wiśle chciałbyś puszczać swe okręciki!



Henryk Czerny. Na dziedzińcu kamienicy staromiejskiej.

BALLADA STAROMIEJSKA.

Na Starem Mieście jest gospoda,
Tamci króluje Kasia młoda.

Czy wołasz „wódka“, czy też „piwo“,
Każdemu z gości poda żywo.

Wybredny, nic jej nie przygani,
Bo jest dziewucha jako łani.

Gdzie drobno stąpi – oczy biegą,
Lecz wara od niej ci, kolego!

Przychodził Walek wieczór każdy
I patrzył na nią, jak na gwiazdy.

„Nie chcesz mi siebie dać — młodemu...
Powiedz, Kasiuniu, gardzisz — czemu?“

Co wieczór nóż w blat stołu wbija:
„Nie chcesz być moja — bądź niczyja!“

Pociąga piwo, nóż we blacie,
Nie wchodź takiemu w drogę, bracie!

Raz w wieczór parny — było w lecie,
Wszedł człowiek w bluzie i kaszkiecie.

Śmiały się oczy mu z pod czoła,
Na Kasię: „Panno, blachę“ — woła...

Gdy mu podniosła z lewej strony,
Tęgiemi chwycił ją ramiony.

Posadził Kasię na kolana
I śpiewał Kasi: dana! dana!

Pieścił okrągłe, ciepłe łono,
Całował szyję jej toczoną.

Powstaje Walek — nóż w rękawie,
Na ich pustotę patrzy krwawie.

Potrącił łokciem nieznanego,
A ten nań z pyskiem: „A ty czego?“

„A tego!“ — warknął Walek jemu,
Nóż w serce wraził nieznanemu.

Lunęła krew, jak miód z pod czopa,
Jak świecę zdmuchnął Walek chłopa.

W kajdany poszedł i pod sądy,
Przez morza wiozą go i lądy.

Pędzą go w mrozy i zawieje,
A Kasia się do gości śmieje...

Dziś z nią i my figlować możem,
Bo już nie siedzi Walek z nożem.

Leon Choromański.



Henryk Czerny. Ulica staromiejska.

LUD—FENIKS.

Społeczeństwo nasze powinnoby zwrócić większą niż dotychczas uwagę na oazę słowiańską, która ocalała wśród piasków germańskich, usiłujących zasypać ją bez śladu przez cały ciąg ośmiu przeszło wieków. Ośm wieków Serbowie łużyccy (Wendowie) bronią się przed ostateczną zagładą narodową, która spotkała ich braci Obodrytów, Lutyków, Pomorzan, Ranów i inne plemiona Słowian połabskich i nadbałtyckich.

Na pograniczu Saksonji, Śląszka Górnego i Brandeburgji mieszka 150 tysięczna ludność łużycka, która w r. b. dn. 24 sierpnia obchodziła jubileusz najstarszego swego stowarzyszenia „Lipa“, z powodu czego odbył się zjazd wszystkich towarzystw łużyckich we wsi Pauczycach, pod Kamieńcem w Saksonji.

Miasta łużyckie podobnie jak śląskie, od dawien dawna są niemieckiemi, natomiast wsie bywają albo czysto serbskie, lub też mieszane. Inteligencję wśród nich stanowią księża i nauczyciele, którzy pierwsi (zwłaszcza duchowieństwo), obudzili poczucie narodowe wśród ludu, opierającego się biernie zakusom germanizacyjnym, dążącym do wytępienia mowy, a nawet samego imienia Serbów łużyckich. Pogarda i wrogie usposobienie okazywane przez najeźdźców „wendzkim chłopom“ (wendisch Bauerleute) spowodowało, że lud zamknął się w sobie,

odciął od wrogiej kultury, dążącej do zniszczenia jego narodowości i pomimo nieustannych zakazów używania mowy serbskiej, nie chciał się uczyć po niemiecku przez długie wieki współżycia z Niemcami.

I oto widzimy ten lud-feniks powstający z własnych popiołów. Działalność narodowa ogniskuje się głównie w stolicy Górnych Łużyc, Budziszynie.

Od lat 59, co rok odbywa się podczas wakacji zjazd studentów serbskich, na którym przywódcy ruchu narodowego udzielają młodzieży wskazówek, wspierają radą i podtrzymują ją w pracy, młodzież zaś zdaje rachunek z tego, co w ciągu roku uczyniła dla sprawy uświadomienia narodowego. W Budziszynie wychodzi największy tygodnik łużycko-serbski *Katholski Posel* oraz miesięcznik literacki *Łużyca*

O istnieniu tego szczątkowego zabytku dawnych potężnych niegdyś Słowian Połabskich, dowiedziano się między rokiem 1837 a 1848. Wówczas przekonano się, że prawie cały obwód budyszyński i wielka część Brandeburgji są ziemiami do dziś dnia w połowie słowiańskiemi, że lud zamieszkujący ziemię, w języku urzędowym zwaną *Luzacją*, jest ludem posiadającym własną odwieczną i nader ciekawą kulturę, zawierającą się w podaniach, pieśniach i legendach. Uczeni badacze różnych krajów słowiańskich: Sztur, Polacki, Maciejowski, Śreznewski i inni odbyli w r. 1842 pielgrzymkę do tego Herkulanum i Pompei słowiańskiej i ze zdziwieniem uwiadomili swoich rodaków, że lud tamtejszy posiada poczucie swej odrębności, którego dowiódł na sejmie w r. 1834, kiedy chciano język serbski, uważany przez Niemców za nieistniejący, wyrugować zupełnie ze szkół i kościołów. Wówczas poseł z miasta Budziszyna, Klin, jeden śród sejmujących wzniósł głos w obronie narodowości serbskiej, odparł zwycięzko wszelkie ataki germanizatorów i zniewolił sejm do przyjęcia prawa, zapewniającego Serbom łużyckim używanie ojczystego języka. *Jan Smolar* wkrótce potem założył towarzystwo serbskie we Wrocławiu oraz pierwsze pismo tygodniowe, zaś w r. 1847 głównie staraniem tego niezmordowanego działacza narodowego, powstała *Macierz serbska*. W r. 1849 rząd saski ogłosił zrównanie mowy serbskiej z mową niemiecką i wolność zakładania szkół serbskich na ziemi serbskiej. Tak było w Łużycach Górnych, należących do korony saskiej. Gorzej się działo w Łużycach Dolnych, wcielonych do królestwa pruskiego, częściowo w XVII w., częściowo zaś przez kongres wiedeński w r. 1815. Tam uświadomienie narodowe stało o wiele niżej wskutek strasznych prześladowań rządu pruskiego, który jeszcze przed powstaniem H. K. T. trzymał się tejże samej taktyki względem Serbów Łużyckich, jakiej dziś używa względem Polaków. Ale Serbowie znajdowali się w daleko gorszem położeniu z powodu swej małej liczebności oraz braku klasy inteligentnej.

Kogo nie interesuje obrona własnej odrębności narodowej, prowadzona z takiem wytrwaniem bez niczyjej pomocy przez ośm wieków, w ciągu których Serbowie łużyccy dostawali się kolejno pod panowanie pobratymczego narodu polskiego, podczas wojen Bolesława Chrobrego z Henrykiem II, następnie margrabiów niemieckich, królów czeskich, Sasów i Brandeburczyków, znów Czechów, znów Polaków, wreszcie na nowo Sasów i Brandeburczyków — kogo, powtarzam, nie interesują dzieje ujarzmionego plemienia, ten może zainteresuje się podaniami i pieśniami tego ludu, który pomimo wyznawanego od tylu wieków chrześciaństwa, zachował dawny słowiański obyczaj oraz wierzenia*). Kraszewski przed napisaniem „Starej Baśni“ przebywał czas dłuższy na Łużycach i tam znalazł niewyczerpaną skarbnicę prastarych pieśni, obrzędów i wierzeń.

Dziwna poezja unosi się nad tym pięknym krajem. Każda rzeka, według wierzeń ludowych, posiada istoty, które są jakby jej bóstwami opiekuńczemi. Są to *mężowie wodni*, *nyksy*, *wodnice* i t. d. W skałach oraz w domach mieszkają krasnoludki, *kubołciki*, *ludkowie* pożyczający od gospodyń dzieży i wogóle żyjący zazwyczaj z ludźmi w dobrych stosunkach — po polach chadzają *południce*; słowem lud ożywił całą przyrodę, zapełniając każdy zakątek rodzinnego kraju istotami bądź to przyjaznemi bądź wrogiemi.

Istnieje dziwny związek pomiędzy ludźmi a przyrodą w Łużycach. Według odwiecznego zwyczaju o śmierci gospodarza zawiadamia się nietylko wieś całą, ale nawet należące do tegoż gospodarza bydło, konie i pszczoły. W. Bogusławski, w dziele swem o Serbach łużyckich, wyd. w r. 1861, wspomina, że za jego czasów zwyczaj ten zachowywano; po śmierci gospodarza jeden z domowników pukał do ulów wołając: „Pszczółki, wstawajcie, gospodarz wasz umarł“!

Nazwa nadawana Serbom łużyckim przez Niemców, Wendy, Wendowie, przypomina owo nieszczęśliwe a piękne w swym upadku plemię Wenedów w tragedji Słowackiego.

Serbowie mają postawę smukłą i silną, rysy twarzy szlachetne, włosy ciemne, słyną jako wzorowi rolnicy i dzielni żołnierze. W wojnach napoleońskich pułki złożone z Serbów w wojsku saskiem, wyróżniały się swą walecznością kobiety serbskie słyną z urody, pracowitości, czystości moralnej oraz przechowywania ojczystej mowy i obyczaju. W mowie Serbowie zachowali jeszcze dawną słowiańską liczbę podwójną. Zakończenia czasowników posiadają też cechy starosłowiańskie: sedowachu, przipasachu, przipinachu. Ze wszystkich języków słowiańskich mowa Serbów łużyckich najbardziej zbliżoną jest do polskiej. O Bolesławie Chrobrym istnieje pieśń ludowa, jak rozdawał piękne szaty, jasną broń i bułane konie za waleczność w boju z Niemcami.

Podania łużyckie są tak piękne i pełne poezji, że skusiły mię do opracowania ich w formie literackiej. Próbkę tej mojej pracy podaję dziś czytelnikom „Złotego Rogu“.

Marja Łopuszańska.

---

*) W numerze niniejszym, w dziale „Literatura nasza i obca“ rozpoczynamy właśnie druk cyklu podań łużyckich, opracowanych przez p. Marję Łopuszańską. *(przyp. Redakcji)*

FELJETON TEATRALNY.

Teatr Polski. — „Kresowy Rycerz-Wesołek“. Komedja w 3-ch aktach przez J. M. Syngea.

W ponurą noc jesienną do odludnej gospody przychodzi wynędzniały, jakąś dziką pięknością urodziwy, Krzysztof Mahon. Przyjmują go niechętnie, ale on najwidoczniej tego nie spostrzega. Jest zapatrzony w siebie, w bieg zdarzeń, jakie się w czasie wędrówki jego przytrafiły. Kocha siebie aż do samochwalstwa, aż do przesady— w wysokim stopniu zaciekawia go własna odyseja przygód. Mówi o sobie. A obecni słuchają z napięciem. Jak dziki, niesamowity paw, młody Krzysztof Mahon roztacza stubarwny wachlarz dzikiej fantazji, którą powoli uwodzi niechęć właściciela gospody i pięknej dziewki — Małgorzaty. W tęczową sieć swej opowieści rzuca nagle oślepiające wyznanie i oblewa go krwawy blask niezwykłości. Zabił ojca. Tak, w sprzeczce zabił ojca i zemścił się za krzywdy, jakich doznał. Popełnił ten straszny czyn, bo miał dosyć odwagi, o! — nawet zadużo odwagi—bo on niczego się nie lęka— bo dla niego to głupstwo, fraszka ladajaka. W samotnej gospodzie, gdzieś na irlandzkiem pobrzeżu ten czyn, tak wspaniały w swej grozie, rozkwita w dziką, mistyczną różę bohaterstwa, bierze we władztwo wszechmocne, szare, zabobonne dusze prostaków, znudzonych monotonnością wciąż tych samych kolei życia. Jak Julja w Romeo, Małgorzata zakochuje się w Krzysztofie odrazu—od pierwszego wejrzenia, bowiem ten dziwnie rozmarzony bohater, ten przestępca, który upaja się zapachem swej zbrodni, silny a nieustraszony rycerz ten błyskawicę krwawej potęgi rozdarł zabójczą ciemność jej duszy, stęsknionej rzeczy nienazwanych, mocą straszliwą dźwięczących. I Krzysztof — pasowany na bohatera — staje się bożyszczem mieszkańców wioski, wyrasta do wielkości, dla której żywią oni grzeszny, nieuświadomiony kult. Wchodzi w powinowactwo duchowe z tymi, którzy skalali ręce swe krwią zabójstwa. Wdowa Quin, morderczni własnego męża, widzi w nim naturalnego swego sprzymierzeńca i ofiarowuje mu swą rękę. Krzysztof tryumfuje. Jest pijany od powodzenia, zwyciężył—choć spodziewał się upadku — ba! nawet stryczka! Mówi tak pięknie, tak kolorowo. Czuć, że kłamie, że zmyśla, ale cudne jest jego kłamstwo, jak tryumfalne, złote chorągwie furkoczą przechwałki tego chłopca. I oto nagle wchodzi ojciec, rzekomo zabity, a w istocie ciężko raniony w głowę uderzeniem łopaty. Krzysztof, wśród ogólnej pogardy spada ze szczytu, na jaki go własna *fantazja* wyniosła. Ale on potrafi dowieść, że jego wspaniałość nie jest czcza! Niech dowiedzą się, że on naprawdę gotów jest na *czyn*. Po gwałtownej sprzeczce z ojcem — Krzysztof zabija go poraz drugi—w oczach tłumu. Chcieliście czynu. Dobrze. *On*, Krzysztof zeszedł do brutalnej niziny faktu, zdobył się na akt woli, zadowolnił żądzę *oficjalnego bohaterstwa*, jaka czyha w oczach niedawnych chwalców. Lecz rachuby te omyliły go stokrotnie. Tłum odwraca oczy od ohydy ojcobójstwa; syn zabijający ojca, jest wstrętny, według tłumu — cuchnie krwiożerczością rzeźnika. Na szubienicę z nim. Trzeba się zemścić na nim, za to, że oszukał wyobraźnię kłamstwem bohaterstwa, że to, że tak przeraźliwie urzeczywistnił legendę o swej wielkości. W tem, gdy mają zaciągnąć Krzysztofa na szubienicę, zjawia się znowu, jeszcze dotąd nie „zabity“ ojciec. Uwalnia syna. I Krzysztof odchodzi wraz z ojcem, w glorji zwycięstwa. Ów Narcyz irlandzki, przeglądający się w potoku krwi — cudem młodości, arcydziełem natchnionego kłamstwa i blagi — wtargnął na szczyt chwały — bo przecież, mimo wszystko, był poetą. Cóż z tego, że nie uwidocznił materjalnie bohaterstwa?

Synge śmignął w oczy sztuką swą jak biczem ostrym i zadrwił ze stadowego głodu prawdy — tej lichej prawdy, którą Krzysztof Mahon obalił jednem zuchwałem kopnięciem, aby stworzyć apoteozę kłamstwa, która wyzbywa się swej istoty i wybucha lawą poezji. Kresowy Rycerz-Wesołek zaiste godnie jątrzy filisterską chęć dopatrywania się wszędzie symbolów, bodaj że politycznych lub moralizatorskich, nie mogącą pojąć tej szekspirowskiego znaku drwiny, która przedzierzga się w apoteozę, mocą twórczego, tytanicznego zamierzenia.

Dzieło Synge'a — ten dziwny, subtelny kwiat, o ostrym zapachu wichrów morskich — wyklęte z duszy ludu irlandzkiego, szeroko przekracza kontur lokalności i historycznej aktualności, tych wszystkich czynników składających się na pierwszoplanowy, banalny symbol. Jak wszystko, co genjalność poczęła, jest ono poza czasem i miejscem — jest dla ludzkości i mówi o Człowieku. Bohaterstwo Krzysztofa Mahona, wspaniale zmyślał p. Węgrzyn. Przechodził on z niesłychaną intuicją, całą gamę odczuć, w jakich duch Krzysztofa przez ciąg trzech aktów się kołysał.

Jakób Appenszlak.

TYDZIEŃ MUZYCZNY.

Z FILHARMONJI.

W ubiegły wtorek odbył się pierwszy abonamentowy koncert Henryka Opieńskiego. Na pierwszą część programu poza koncertem A-dur Liszta, odegranym przez solistę wieczoru p. Józefa Turczyńskiego, składały się: uwertura „Morskie Oko“ Noskowskiego i „Rapsodja litewska“ Mieczysława Karłowicza. W poemacie Karłowicza ciekawe są jedynie motywy litewskie, bo sama budowa tej kompozycji nie jest interesująca; brak jej przedewszystkiem logicznego powiązania poszczególnych części, np. wstępne akordy do melodji tanecznej są, jeśli nie rażące, to conajmniej za bezpośrednie, a zakończenie poematu motywem, którym się zaczyna, jest całkiem zewnętrzne i nie wypływające z logiki utworu. Umotywował autor coprawda poniekąd to luźne powiązanie motywów, nazywając swój poemat rapsodją. Pod względem instrumentalnym oryginalnie ujęty jest tylko początek, reszta zaś co do brzmienia orkiestralnego, nie przekracza szablonu. Druga część koncertu zaczęła się pięknym poematem symfonicznym Henryka Opieńskiego p. t. „Zygmunt August i Barbara“. Pierwszą zaletą tego dzieła jest wielka przejrzystość pod względem idei i faktury. Motywy melodyjne ubrane w świetną szatę instrumentalną, odznaczają się taką siłą charakterystyczną, że nawet nieznającemu treści literackiej tego utworu nie trudno domyśleć się, że opisuje w nim autor smutne dzieje miłości dwojga istot, a dla nas poemat ten staje się tem zrozumialszy, że tak dobrze znaną nam jest historja ostatniego Jagiellona i żony jego Barbary. Czy to więc junacki a zarazem szlachetny temat króla, rozpoczynający symfonję, czy pełen wdzięku motyw Barbary, czy zgiełkliwe fugato, określające sejm sprzeciwiający się małżeństwu króla z szlachcianką, czy ostatni odbłysk miłości w oczach umierającej żony (klarnet solo), czy też miarowe uderzenie kotła w smutnym i ponurym marszu żałobnym — wszystkie te momenty wzbudzały w słuchaczu jaknajwiększe zainteresowanie i uczucia odpowiadające intencjom kompozytora. Poematem tym, odznaczo-



Henryk Opieński.

nym na konkursie Filharmonji Warszawskiej, dowiódł Henryk Opieński raz jeszcze, że prócz zdolności kapelmistrzowskich i wielkiej erudycji w zakresie wiedzy muzycznej, posiada także wybitny talent kompozytorski.

T u r c z y ń s k i sprawił nam przedewszystkiem dużą niespodziankę odegraniem kilku kompozycji przedwcześnie zmarłego muzyka polskiego A. Zarembskiego. Utwory te należą bezsprzecznie do najlepszych rzeczy fortepianowych, jakie literatura muzyczna posiada; oryginalne i subtelne efekty fortepianowe, przepiękne harmonje, wielkie bogactwo melodji i ogromne urozmaicenie rytmiczne składają się na piękność tych ulotnych arcydzieł, które powinny wejść na repertuar każdego, a conajmniej polskiego pianisty. Pan Turczyński odegrał je z wielką finezją i z zupełnym opanowaniem techniki. Wogóle zaznaczyć trzeba, że młody ten wirtuoz, z dużą swoją kulturą muzyczną i z wielką sumiennością w wykończaniu jaknajdrobniejszych szczegółów, zalicza się już dziś do bardzo poważnych pianistów i czeka go chyba jaknajwiększa przyszłość. Poza utworami Zarembskiego wykonał p. Turczyński na bis ku wielkiej radości wszystkich wielbibieli talentu Karola Szymanowskiego, śliczną jego etiudę B-mol. Dwuch rzeczy trudno wybaczyć panu T., najpierw, że grał tak mało interesujący koncert e-dur Liszta, a potem, i to przedewszystkiem, że mógł grać na takim tandetnym i roztrojonym fortepianie, którego najwyższe tony szczególnie dotkliwie raniły.

Na koncercie piątkowym (drugi z kolei wielki symfoniczny) orkiestra odegrała poraz pierwszy „Symfonję Romantyczną“ Włodzimierza Keniga, pod jego własną dyrekcją. Dzieło to młodemu kompozytorowi nie bardzo się udało, brak mu zarówno oryginalnej inwencji i polotu twórczego, jak i opanowania form muzycznych, przedewszystkiem instrumentacji. Cały utwór zakrawa trochę na popularne potpourri z tematów Wagnera i Czajkowskiego, jedynie scherzo ma charakter czysto beethowenowski.

Genjalnemu wiolonczeliście p. Janowi Gérardy'emu, który brał udział w koncercie i stanowił jego główną atrakcję, należy się tylko jaknajgorętsze podziękowanie za chwile niezapomnianych wrażeń, jakie dała jego gra. Orkiestra pod dyrekcją p. Birnbauma doskonale akompanjowała wielkiemu artyście.

Obszerniejsze sprawozdanie z wznowionych ostatnio oper w Teatrze Wielkim, dla braku miejsca odkładamy do przyszłego numeru.

Bolesław Przybyszewski.

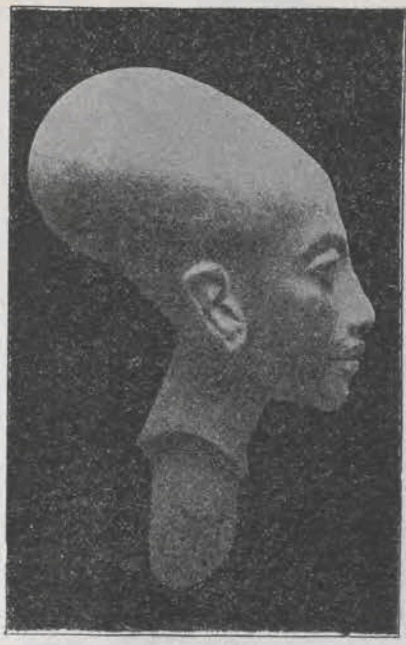
KINO



Personel kobiecy Teatru Nowoczesnego.



Personel męski Teatru Nowoczesnego.



Głowa księżniczki.

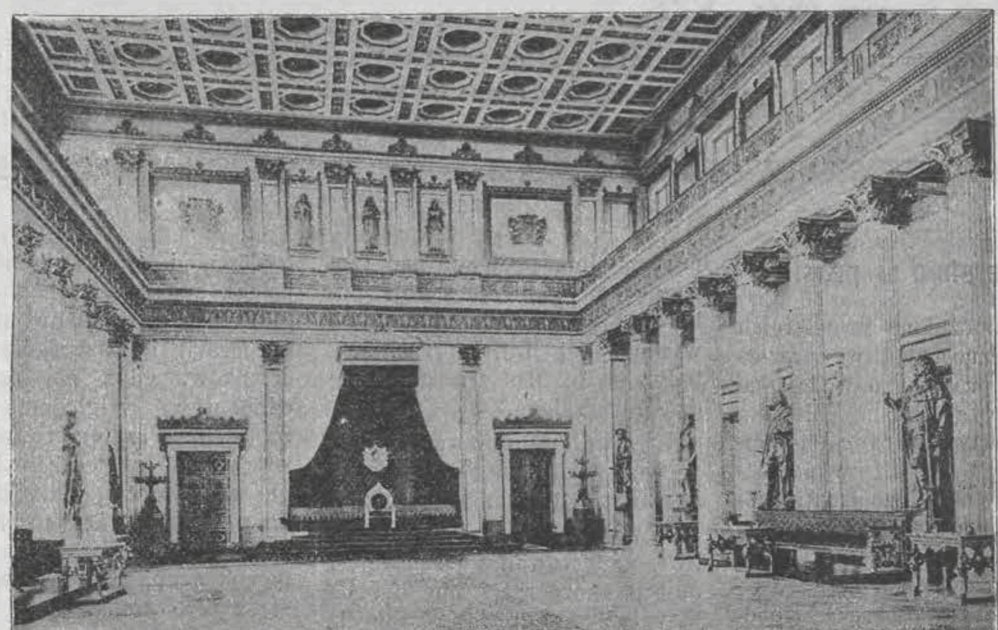


Głowa z posągu księżniczki.

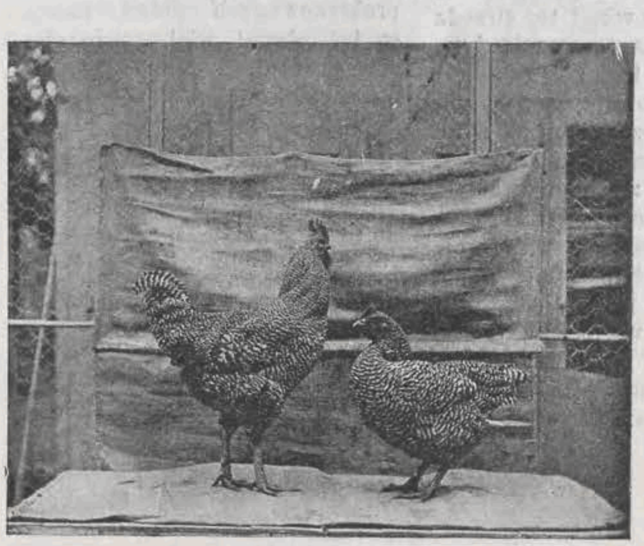
Nowe wykopaliska Niemieckiego Tow. Orjentalistycznego, dokonane na terenie Tellet-Amarna w Egipcie.



Głowa z posągu królowej.

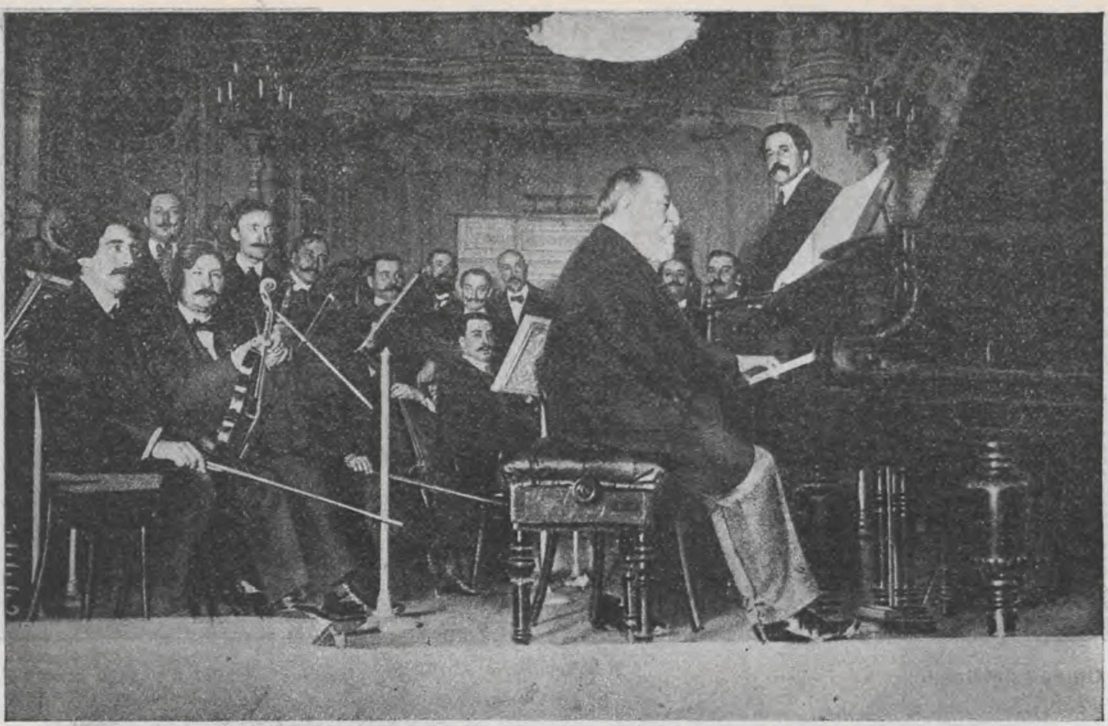


Sala tronowa w pałacu królewskim w Monachjum, w której ogłoszono intronizację króla Ottona III.



Pani Helena Padarewska, małżonka mistrza tonów, nadesłała ze swej fermy Biond Bosson, znajdującej się w Szwajcarji pod Genewą, liczne i piękne okazy na wystawę drobiu w Dolinie Szwajcarskiej.

Pani P. jest znaną w Europie hodowczynią, posiada tytuł „Chevalier de la Merite Agricole" i jest członkiem honorowym wielu stowarzyszeń hodowlanych. Ilustracja nasza przedstawia okazy koguta i kury odmiany angielskiej Plymouth Rock.



Kamil Saint-Saëns na wieczorze muzycznym, jaki się odbył w Paryżu, przed samym odjazdem mistrza na tournée artystyczne po Europie.

Oszczerstwo w prasie.

Rozwielmożnione w ostatnich czasach liczne a zjadliwe oszczerstwa w prasie, spowodowane głównie rozgoryczoną polemiką na tle partyjnem i nacjonalistycznem, były już w początkach roku obecnego roztrząsane w Towarzystwie literatów i dziennikarzy, którego zarząd nie uznał się jednak kompetentnym do reagowania w wypadkach, w których żadna ze stron nie należy do Stowarzyszenia, ani też gdy sama korporacja nie jest zaczepioną.

Z takiem zapatrywaniem zapatrywaniem zarządu nie solidaryzowała się jednak znaczna grupa członków, którzy w liczbie trzydziestu jeden osób podali wniosek do zarządu aby tenże nadal uznawał się za upoważnionego do rozpatrywania spraw wogóle tyczących się oszczerstw w prasie, choćby oszczercy i poszkodowani nie byli członkami Stowarzyszenia, uważając że cała prasa polska winna podlegać pod tym względem kontroli opinji publicznej, wyrazicielem której jest w pierwszej linji reprezentacja jedynego u nas zrzeszenia się dziennikarskiego.

Kwestja ta omawiana była w tych dniach na zwołanem ad hoc nadzwyczajnem zebraniu.

Wnioskodawcy popierając projekt, motywowali go zasadą, iż pojęcia korporacji nie określa jedynie pewnej liczby piszących, którzy opłacają składkę, będąc członkami stowarzyszenia; że więc oni tylko winni też strzedz się drukowania oszczerstw i zarazem sami też znajdują się pod opieką Stowarzyszenia, któ re ujmie się za niemi w razie napaści na nich dokonanej.

Nie należy zaś pojmować tej kwestji tak, że ten, co nie chce należeć do Stowarzyszenia, nie dość że nie opłaca żadnej składki, lecz może prócz tego bawić się jeszcze w publicystyczne rozboje „libre parol“, nad którymi żadna choćby moralna nie ciążyła władza.

Zarząd i jego zwolennicy byli jednak zdania, że nie wolno im przekraczać szranków interesu korporacji i poszczególnych jej członków, gdyż nie posiadają egzekutywy względem obcych im osób. Przytem równie obawia się, że zbyt częste ferowanie wyroków ujemnie oddziała na rozwój Stowarzyszenia, gdyż po każdej potępiającej rezolucji, pewna grupa członków wykreśli się z jego grona.

Zarząd więc zaproponował rezolucję, aby trzymać się nadal praktykowanych dotąd zasad, co też obecni większością głosów przyjęli.

J. T.

SPROSTOWANIE.

W artykule zamieszczonym w № 46-ym „Złotego Rogu“ Dr. W. Strusińskiego o „Calibanie“ Renana w trzecim wierszu od góry, *„jest“*—niepotrzebne czyli ma znaczyć, że Renan „znany jako autor „Żywota Chrystusa", próbował także swych sił na polu dramatycznem".



Ankieta „Przeglądu Tygodniowego" w Paryżu.

Ruchliwe pismo francuskie ogłosiło latem ankietę w kwestji „dziewczęcej" — interpelując młode panny do lat 25-ciu, o ich zamiary, dążenia, przekonania i uczucia. Temat wielce ciekawy. Stawiły się do apelu dziewczęta o rozmaitych bardzo indywidualnościach —takie które są i pragną pozostać jedynie *kobietami*, czy to w małżeństwie, czy też w zakonnej sukience, służąc miłości — tu: ludzkiej, tam — boskiej, inne znów idące z prądem czasu a wskutek odmiennych warunków ekonomicznych, przewrotów socjalnych — marzące o życiu samodzielnem, oddanem pracy zarobkowej: artystycznej, biurowej wreszcie zawodowej.

Pomimo tych różnic wszystkie odpowiedzi noszą jedno piętno bardzo wyraźne: *młodości*, nie brak go ani u przyszłej zakonnicy, ani u malarki—lub doktorki kreślących z ogniem swoje posłannictwo.

Poza tem wszystkie pragną iść ręka w rękę z mężczyzną nie negując go w swych projektach i nie występując przeciwko niemu.

Oprócz zakonnic, żadna nie wyklucza małżeństwa widząc w niem jednak nie ostateczny cel swego życia, nie *stanowisko*, ale wyłącznie ukoronowanie sfery uczuciowej, zastrzegając dość wyraźnie, że nie znaczy to, aby pożycie miało być szeregiem ofiar z jednej, właśnie kobiecej strony. „Kobieta powinna żyć życiem własnem"—oto godło, ale w tem znaczeniu górniejszem, szlachetniejszem, aby zdobyczami swego życia, radościami, zaszczytem — mogła podzielić się z tą drugą swoją połową.

Czy założeniu temu można coś zarzucić? Chyba to jedno, że trudne ono jest do wprowadzenia w czyn jak każda zresztą nowa idea. Dziewczęta francuskie wierzą, że nadejdzie godzina zwycięstwa, pokonania przesądów, uprzedzeń starszego pokolenia oraz nie mniej potężnego wroga: pokus, które z nowym ustrojem, nowymi warunkami stawać muszą na drodze pionierek. Wrogiem tym: duma dziewczęca i jednocześnie, jej słabość. Duma i słabość, ścierające się z sobą, zastawiające sidła na najzdolniejsze i najbardziej przygotowane do walki. Jakże bowiem połączyć ten instynkt kobiecy: chęć złączenia swego życia z życiem drugiej jednostki z tą tęsknotą za swobodą i niezależnością? Zadanie trudne ale nie niemożliwe, tak przynajmniej sądzą autorki odpowiedzi na ankietę—licząc w pierwszym rzędzie na pomoc tych, którzy wierzą w wartość moralną kobiety - a więc przedewszystkiem na *same siebie*. Po zatem apelują do rodziny, ojczyzny i religji chcąc w nich znaleźć fundament do obrony swych interesów, w imię hasła, że odrodzenie narodu spoczywa w rękach „matek". Charakterystycznym rysem ankiety jest „religijność" — jakiej nie pozbawione są wyznania nawet najdalej idących rzeczniczek nowych praw kobiety.

Zapewne, przemówiła tu *elita* dziewcząt, ale wyszła ona z ich właśnie łona — i może śmiało przedstawiać głos ogółu świata kobiecego, głos najbardziej świadomy słów swych i zamierzeń. Zresztą za elitą idą szare szeregi, słusznie więc należy się jej prawo przemawiania i sądu jej lekceważyć nie wolno.

K. Ł.

Z SALI ODCZYTÓW.

Na temat: „Anglja pod władzą kobiet" wypowiedziała p. Natalia Jastrzębska doskonale rzeczowo wyargumentowany odczyt o bojowym ruchu kobiecym w tym kraju, który uchodził za wzór kultury w postępie materjalnym wśród nowoczesnych społeczeństw.

Prelegentka wzięła sobie za zadanie zwrócić uwagę należną na obecny kierunek akcji kobiecej w Anglji, przejawiający się w postaci, szeroko przez prasę omawianych, ekscesów sufrażystek, po 50 latach walk kobiety angielskiej o należne jej prawa wyborcze.

Zwróciła słuszną uwagę na fakt odmawiania systematycznie praw wyborczych kobiecie ze strony zządu angielskiego, podczas gdy taż sama rasa anglosaska w Stanach Zjednoczonych

np. wykazuje już dodatnie bilanse korzystnych wpływów kobiety-wyborczyni, od szeregu lat zajmujących już w Ameryce i Australji swe obywatelskie stanowisko wyborcze.

W eskcesach „sufrażystek", jako stronnictwa radykalnego i bojującego wszelką bronią o swe prawa, prelegentka widzi poważny objaw anomalji życia społecznego Anglji, doszukując się źródeł tego stanu rzeczy w psychologji narodu. Dostrzega w obyczajach tego kraju objawy przemocy mężczyzny nad kobietą w życiu domowem, towarzyskiem i społecznem co wywołuje słuszny protest kobiety dopominającej się o swe człowiecze prawa. Prawa te zdobywać ona usiłuje *siłą* na mężczyźnie, odmawiającym jej ich systematycznie w rządzie i prawodawstwie, skoro na mocy dobrowolnej umowy posiąść ich nie może. Zapamiętałość, tej walki doszła do używania środków wszelkiej broni; przybierają rozmiary zgoła pierwotnych zapasów „na pięści, zęby, kły i pazury", powiedzieć by można, dla charakterystyki tych sposobów, do jakich uciekają się sufrążetki, niebaczne, że tem właśnie gubią własną sprawę w znacznym stopniu.

Prelegentka zwraca uwagę, że głośne wybryki sufrażystek poza granicami Anglji, budzące zdumienie, są to jednakże sposoby walki, stosowane zazwyczaj na ziemi Albionu i przez ród męski dopominający się o reformy odnośne. Ze stanowiska powagi i sprawy kobiecej nie gardzi się oczywiście na jej ośmieszanie, bowiem śmieszność to broń zabójcza wszelkiej sprawy,

Nie kusząc się w krótkim rysie sprawozdawczym na zobrazowanie przedmiotu, który w skrócie bardzo udatnym, świadczącym o poważnych studjach nad przedmiotem, podała pani Jastrzębska swym słuchaczom, zaznaczyć musimy ważność pokazanej przez nią aktualności, którą u nas przeważnie zbywa się lekceważącem wzruszeniem ramion.

Cenne zalety i mówczyni „z bożej łaski" i sumiennej referentki badanego poważnie przedmiotu, wykazała tu p. Jastrzębska, która od pierwszego słowa, szlachetnym sposobem swego wykładu przykuła uwagę audytorjum, odpłacające się pod koniec szczerym, bo dobrze zasłużonym oklaskiem.

P.

KRONIKA.

Znowu sufrażystki.

Po różnych skandalach które tak bardzo oburzyły opinję sufıażystki angielskie wynalazły nowy, dotąd niepraktykowany sposób manifestowania. Oto w czasie nabożeństwa odprawianego w katedrze Ś-go Pawła w Londynie, gdy duchowny odczytujący litanję doszedł do słów „Módlmy się za wziętych do niewoli i uwięzionych", kilkadziesiąt sufrażystek zaintonowało pieśń w te słowa:

Panie! Wybaw Ewelinę Pan-
[khurst,
Ratuj ją... Ratuj ją!...
Przywróć ją słońcu, i uwol-
[nij ją!
Wybaw ją, wybaw ją!
O panie! wysluchaj naszych
[modłów!

Służba kościelna protestując, żądała zaprzestania śpiewu, na co sufrażystki odpowiedziały śpiewem o zdwojonej sile, ciągle tych samych słów. Służba kościelna wyprowadzona z cierpliwości, wypchnęła za drzwi katedry jedną z przewodniczących manifestacji. Inne opuściły spokojnie kościół.

Sufrażystki powiększają teren swych działalności, bo oto kilka oddziałów znalazło się aż... w Chinach.

Zaczęto od reformy domowej, rzec można drobnej, gospodarskiej, a jednak mającej głębsze znaczenie. Niedawno jeszcze w domach chińskich, honory domu czynił wyłącznie pan — mąż—z zupełnem ustronieniem kobiety-żony, którą tylko w rzadkich wyjątkach spostrzegano, obecnie pani domu przyjmuje sama swych gości i bierze udział we wszystkich towarzyskich zebraniach, do których dawniej nie była dopuszczona. Feministki jednak nie doprowadziły jeszcze Chinek do przyswojenia sobie strojów europejskich, ale wpływ ich zdołał już zmienić szkaradne, chińskie uczesamia. Chinki adoptowały już teraz o wiele estetyczniejsze uczesania japonek. Feminizm chiński nie ogranicza się jednak na tych towarzysko-światowych reformach, dąży on do zupełnego przeistoczenia moralnego dotychczasowych, społecznych warunków kobiety. Doktorowa *Janci-Kin* przewodnicząca feministek chińskich, walczy przedewszystkiem o przymusowe elementarne kształcenie dziewcząt. Dowodzi ona, że obecnie zaledwie jedna na sto kobiet chińskich mogłaby zdobyć sobie pracą kawałek chleba, bez pomocy mężczyzny. Dotychczasowa ciemnota musi ustąpić miejsca elementarnemu a praktycznemu wykształceniu zapewniającemu kobiecie chińskiej byt niezależny. Założono już odpowiednie szkoły—wyniki dotychczasowe przeszły wszelkie oczekiwania.

Odpowiedzi Redakcji.

Pani K. Dobrze pani poradzono; puder „Floréine" dlatego szczególnie jest zalecany, ponieważ nie zawiera w swym składzie związków metalicznych, które zamulając pory skóry są zadatkiem przyszłych wągrów i pryszczy.

Łodziance. Czerwone i szorstkie ręce należy myć 3 razy dziennie ciepłą wodą i mydłem „Floréine"; po każdem myciu należy natrzeć ręce kremem „Floreine" (posługując się lekkim masażem) i po upływie, mniej więcej 5—10 minut, moczyć je w bardzo gorącej wodzie. po dokładnem wytarciu, rąk zaleca się lekko przypudrować je pudrem „Floréine". Na noc natrzeć ręce większą warstwą kremu „Floréine" i włożyć rękawiczki. Po upływie krótkiego czasu ręce będą arystokratycznie białe i gładkie.

POPULARYZACJA WIEDZY

„Światło, ciepło, ruch".

Przyglądając się współczesnej Warszawie, nasuwa się szereg nieodpartych refleksji. W ostatnich czasach rozwija się w życiu zbiorowem dziwna błyskotliwość i beztreściwa ruchliwość. Nigdy ulice naszego miasta nie były zalewane tak obfitymi potokami światła, płynącego z olbrzymich witryn sklepów kolonjalno-luksusowych, barów, kawiarni, restauracji i cukierni. Cała nieparzysta strona Nowego Świata to jeden szereg tego rodzaju instytucji. W takim właśnie punkcie rozparł się lodowy pałac luksusu, w którym przepalały się, wobec dzisiejszej stagnacji ekonomicznej, licho wie skąd czerpane, czerwońce. I pałac ten runął.

Fakt ten był istną niespodzianką, wobec tego, że, zdawało się, skrępowana okolicznościami Warszawa, brnęła zaślepienie po jedyne w swoim rodzaju samobójstwo, wołając nieustannie: „Światła, więcej światła!"

Ale ta niespodzianka rozpoczęła długi szereg nowych i coraz bardziej zdumiewających.

Na opustoszałem i cichem już miejscu, zaczęła się ogniskować i skupiać w określone kształty od lat mozolnie, lecz wytężenie prowadzona praca twórcza. Wysiłki początkowo dwuch obywateli, zjednały grono czynnych ludzi, którzy powołali do życia wspaniałe przedsięwzięcie.

I znowuż rozbłysły ogromne salony lodowego pałacu, ale tym razem nie tylko pod znakiem „Światło" ale i „Ciepło", Ruch".

I tam, gdzie jedna instytucja zakończyła byt ogromnym niedoborem i stratą — nowa rozpoczęła egzystencję już z kilkorublowym zyskiem. Każdy następny dzień przynosił i przynosi kilkusetrublowe korzyści, wzbogacając „Kasę Techników". Ale najciekawszem zjawiskiem jest [tu krążący stale wielotysięczny tłum. Ludzie przychodzą patrzeć i uczyć się.

A więc nurt wielkomiejski, który przepływał przez jarzące i grzmiące muzyką, brzękiem szkła i złota wspaniałe salony, równie chętnie zbiega się po zaspokojenie żywotnych potrzeb, głodu poznania i przeżywania.

Z tych obserwacji wynika wniosek: w Warszawie może liczyć na powodzenie każde żywotne przedsięwzięcie, jednak przy współzawodnictwie, zwycięży pożyteczniejsze.

A właśnie wystawa „Światło, ruch, ciepło" posiada cały szereg tego rodzaju atrakcji.

Dzięki temu, że poza przygotowaniem strony czysto reprezentacyjnej, zawodowej, zgromadziła mnóstwo atrakcji popisowych, spopularyzowanych przytem doskonałymi pokazami i pogadankami, wystawa przy nadzwyczaj wykwintnem urządzeniu stała się miejscem spacerowem, salonem rozrywki i salą nauki.

Zbiegające się tu gromady szkolnej młodzieży, zwykłych spacerowiczów i ludzi poważnych, wynoszą miłe wrażenie i wielki zapas tematu do rozważań.

Zapobiegliwi organizatorzy potrafili w naszem środowisku, zniechęconem tylokrotnemi bezpłodnemi, bo beztreściwemi poczynaniami, wyłowić mnóstwo rysów charakterystycznych. Całokształt wystawy nie obejmuje wszechstronnie naszego życia przemysłowego. Wielu firm brak. Jednak z tego, co tu obejrzeć można, umiejętny obserwator wiele zdoła wywnioskować. Widzi się tu braki i zalet, odczuwa się tętno tej strony życia i wychodzi się pokrzepionym.

Każdy dział czegoś nowego uczy, wyjaśnia jakieś braki lub informuje o nowych lub też praktyczniejszych zastosowaniach. Niektóre pawilony dają obraz całkowity pewnego działu, jak np. pawilon światła, gdzie wygłasza z wielką swadą pouczające pogadanki dr. fil. Ludwik Kossakowski, pawilon bibliografji techniczno-przemysłowej E. Wendego, rozkładający przed widzem mnóstwo czasopism i książek, pawilony: optyczny — Berenta, hygieniczny — d-ra Stanisława Serkowskiego, ratowniczy—Pogotowia Ratunkowego, pedagogiczny — „Uranji" oraz cały szereg pawilonów sprawozdawczych różnych naszych zakładów wychowawczych.

Specjalnie pożyteczny jest dział torfowy.

Wreszcie całości dopełnia szereg wyczerpujących odczytów, wygłaszanych przez zawodowców. Odczyty te, łącznie z pogadankami i demonstracjami, wypełniły głęboką luką naszego życia duchowego.

Wystawa „Światło, ciepło, ruch" w ten sposób stała się najważniejszą i najpożyteczniejsza atrakcją sezonu zimowego, oraz — wspaniałem zapoczątkowaniem, zyskującem zupełne zaufanie ogółu dla przyszłych tego rodzaju poczynań.

Dr. Wł. R.

Telefon a hygiena.

Przy wzrastającem życiu gromadzkiem, przy stale przyspieszanym rytmie wymiany myśli, telefon staje się urządzeniem rozpowszechnionem i nieodłącznem. Każdy mieszkaniec miasta współczesnego ma styczność z telefonem i jest kwestją żywotności częstość korzystania z usług tego cudownego wynalazku. Lecz każda dobra rzecz ma swoje złe strony. Korzystając z instalacji telefonicznych, rozmówca musi się posiłkować coraz innym aparatem. Otóż, jak uczy dzisiejsza bakterjologja — aparat taki zatrzymuje na sobie to, co pozostawili na nim poprzedni interesanci, by to oddać następnym. Każdemu, użytkującemu aparaty telefoniczne w cukierniach, hotelach, na dworcach kolejowych, grozi zbyt blizkie pośrednie zbliżenie się fizyczne z obcymi sobie ludźmi, często niebezpieczne zdrowotnie, a zawsze odrażająco niemiłe.

Czy istnieją środki zaradcze? Niestety, istnieją liczne, ale nie są stosowane. A przecież dezynfekcja choćby codzienna, byłaby tu równie naturalną i niezbędną, jak kwestja zamiatania podłogi, czy też pokrywania czystym obrusem stołu. Potrzeba ta powinna stać się, logicznie, kategorycznem wymaganiem tam, gdzie jest za użytkowanie aparatu pobierana opłata.

Woda przy obiedzie uważana jest powszechnie za zbyteczną, a nawet szkodliwą. Opinja ta urobiła się na zasadzie wyjątkowych okoliczności, a w znacznej części — bezkrytycznie. Hygiena zaleca nieużywanie wody i wogóle płynów w wypadkach, gdy chodzi o schudnięcie i odwrotnie, jeżeli pacjent pragnie utyć, zaleca mu używanie płynów w czasie jedzenia. Ostatnio zajmowali się doświadczalnie tą kwestją dwaj badacze amerykańscy T. B. Hawk i Olaf Berqeim i doszli do wniosku, że ślina rozwodniona lepiej trawi węglowodany, więc wszelkie potrawy mączne, a znów znanem jest tuczące działanie tego podzaju pokarmów.

Hawk i Berqeim, zalecając osobom szczupłym picie wody przy mącznych obiadach, zwracają uwagę na to, że lepiej działa na trawienie ślinowe woda twarda niż miękka.

Ból w pojęciu filozofji.

Organizm ludzki, czy zwierzęcy ma cały szereg urządzeń samoregulacyjnych. Wiele z nich nie podpada pod bezpośrednie nasze obserwacje, jak np. odruchy, zjawiska cieplne i t. d., ale każdy zna objawy głodu, zmęczenia, senności. W ten sposób organizm przejawia pewne niedostatki. Ludzki mózg przez proces myślenia, nauczył się rozróżniać te objawy i szukać środków zaradczych dla siebie, a także z kolei, dla innych. Do rzędu tego rodzaju funkcji organizmu należny ból. Jest on sygnałem ostrzegawczym, zwiastującym, że coś w organizmie zostało uszkodzone. Zadaniem rozumu jest usunąć powód cierpienia.

Otóż, częstokroć medycyna usuwa li tylko sam objaw, bezradna wobec przyczyny. Pacjent nadal zostaje chorym, przestaje tylko cierpieć, a więc wiedzieć o swojej chorobie. I ten stan ma cały szereg stopniowań: zaczynając od wypadku, gdzie zaburzenie zostanie usunięte na drodze naturalnej, funkcji organizmu, kończąc wypadkiem najgroźniejszym — nieuleczalności, jak np. przy paraliżu lub złośliwym nowotworze. W tych wypadkach pacjent albo nic nie wie o grożącej katastrofie, albo też nie czując bólu, nie wierzy lekarzowi, gdy ten zaleca ciężką operaaję.

Ból jest wielkim dobroczyńcą życia. Bez jego wymownych argumentów człowiek nie umiałby pomagać samemu sobie w groźnej potrzebie, a już zupełnie byłby bezradny wobec niemych przyjaciół swoich — zwierząt domowych.

Letarg i śmierć.

Dr. Karol Valliant zrobił w Paryżu doniosłe odkrycie, pozwalające na eksperymentalne i nieomylne rezróżnianie letargu od stanu śmierci.

Gazy żołądkowe, w ciele martwem jarzą się, zaś przy prześwietleniu promieniami Rëntgena, działają wyraźnie na płytę fotograficzną, zarysowując obraz żołądka i kiszki. Nic podobnego nie daje się obserwować w przypadku letargu.

Automobil podwodny został zbudowany na użytek francuzkich kolonji. Zwykły auto przestaje działać, gdy woda zaleje maszyny. Nowy samojazd zbudowano w ten sposób, że tak maszyny, jak i kajuta dla podróżnych są zamykane hermetycznie. Od maszyn wznoszą się ku górze dwie rury: odprowadzająca i doprowadzająca powietrze. Pojazd, przebywając pod wodą rzeki, nie zaopatrzonej w mosty, jest niewidoczny; nad poziom wystają wzmiankowane rury.

Dr. Wł. R.

18)

MARJAN ORLICZ.

JAK W BAJCE.

POWIEŚĆ.

— Okropność! I dlaczego?

— Nie wierzyliśmy, że to poza, a w nim nurtowała nieuleczalna choroba. Przy tym, naturalnie nie mógł zarabiać: choroba i bieda.

Opuściła ciężko pobladłe czoło.

— Strach pomyśleć, ile tu w tym Paryżu istnień idzie na marne.

— A ile wybłyśnie — odparł — ale w głosie jego nie było przekonania.

Śmierć Orlińskiego na czas pewien rzuciła mu cień na duszę, zmąciła ją do dna, falą złych przeczuć. Starał się jednak wszystkiemi siłami otrząsnąć przez wzgląd na nią.

Trzeba było zresztą pomyśleć o egzystencji: chociaż ukrywała przed nim, zmiarkował jednak, że brak najniezbędniejszego.

Ha, należy rzeczywiście nawiązać dawne stosunki. Zacznie, jak wówczas od Cressangerów — doświadczony stary malarz, nie jedną już mu dał dobrą radę — od Milszów, którzy takie rozległe mają stosunki. O pani Marcie wiedział, że wyjechała do Algieru.

Jak się okazało i Milszowie oddawna bawili w Londynie.

Wybrał się więc do Cressangerów.

Zastał Cressangerową zupełnie już sparaliżowaną w łóżku.

Jednak poznała go i powitała serdecznym, choć trudno zrozumiałym bełkotem.

Nikt jej właściwie dobrze nie rozumiał oprócz jednego męża i to ją ogromnie irytowało.

Strach było patrzeć, co ta kobieta pełna wykwintnego dowcipu, prawdziwego talentu, artystycznego smaku, zrobiła ze swoim życiem.

Cierpliwość Cressangera była niewyczerpana: nie puszczała go od siebie, tak, że często nie było sousa na obiad. Jednak ciągle jeszcze trzymano sekretarza, który przepisywał niewydane dotąd utwory.

Była wstrząsająca chwila, kiedy sekretarz, wybierając nuty do jednej z jej pieśni, wziął niewłaściwy ton i kobieta nawpół już nieprzytomna, bezwładna, poderwała ciężką głowę i wybełkotała niezrozumiałym piskiem „non, pas ça, c'est Eee!

Umiłowanie sztuki niosła ze sobą aż do wrót śmierci.

Żarski wyszedł, nie mówiąc o swoich sprawach, bo i jakąż radę mógł mu dać ten człowiek nieszczęśliwy, nie mogący radzić samemu sobie.

Wyszedł od Cressangerów bardziej tylko przygnębiony.

I znowu szedł miesiąc za miesiącem bez żadnej zmiany na lepsze.

Zachodził często, aż do uprzykrzenia do Reutlingera, skąd przed wyjazdem miał ciągłą robotę, ale firma nie podejmowała się już obstalunków na portrety. Kazali jednak dowiadywać się od czasu do czasu.

Nastały ciężkie dni.

O tworzeniu nie mogło być mowy, wobec zmiany pracowni na maleńką, której światło w dodatku zabierał daszek niższego piętra...

Szedł właśnie przez „Boulevard St. Michel", kiedy zobaczył nadchodzącego Rastlera.

W pierwszej chwili miał zamiar go wyminąć, ale się rozmyślił: ten wszystkowiedz może mu być pożyteczny.

Przywitali się przyjaźnie. Żarski wypytywał Skrzeckiego, o szczegóły śmierci Orlińskiego.

— Skrzecki wpadł, jak kamień w wodę.

— A Orliński, ten inteligientny, poczciwy kolega, jakżeż do tego przyszło?

— Nie poznalibyście go, taki był w ostatnim czasie zmieniony. Zauważyliśmy wszyscy w jego twarzy jakiś wyraz jakby

niezłomnego postanowienia. Ale kto mógł przypuścić co się w tej biednej głowie dzieje. W ów dzień nieszczęsny wslał, ogolił się, ubrał staranniej niż zwykle i powiedział koledze Gravier, którego mimo własną ciężką biedę przygarnął jak wtedy Skrzeckiego, że pragnie odetchnąć świerzym powietrzem. Gravier, wiedząc, że miewa zawroty ofiarował się towarzyszyć mu. Orliński miał chwilę wahania, potem jednak przyjął propozycję. Zwykle małomówny przez całą drogę nie zamykał ust.

Widać było, że jest silnie podniecony.

„Ciekawa rzecz“ — powiedział w pewnej chwili — „co się też staje z myślą ludzką, gdy zagaśnie“.

Prowadzili się pod rękę.

Kiedy weszli na ów nieszczęsny most w Buttes — Chaumont, Orliński oparł się o balustradę i powiedział ze śmiechem: „jakie to głupie, podwyższyli tą balustradę, żeby zapobiedz samobójstwom!

I nim się ogłupiały Gravier mógł połapać leżał pod mostem z rozbitą czaszką. Ani zipnął.

Żarskiego łzy dławiły:

— Wiecie, Rastler, młodym wydaje się krzywdą, jeśli rodzice sprzeciwiają się ich artystycznej karjerze, ale to chyba oni mają rację: Powiedzcie, ile tu w tym Paryżu istnień przepada marnie, a z naszego szczupłego kółka ten się zabił, drugi poszedł do papy na ekonoma, trzeci na utrzymanie do kobiety bardzo dwuznacznej. Łaszcz i Marczewski stracili wzrok trochę z przymierania głodem a trochę z kiepskiego oświetlenia i t. d.

— Bo też, zmiłujcie się, co tu corhocznie napływa młodzieży z aspirhacjami, a bez talentu. A wrheszcie i talent prhawdziwy ginie w takiej masie. Pomyślcie, że pod samym 9-tym numerhem na „Campagne” mieszka 150-ciu malarzy, nie licząc mieszkających na parterze rzeźbiarzy. Ale nie myślcie znowuż, że tylko marhnieją arhtyści. Nie pamiętam, gdziem czytał statystykę lekarzy, adwokatów, literhatów, i t.d. w ostatniej nędzy wałęsających się po przytułkach noclegowych. Nie przypominam sobie ile tam tego było, ale wiem, że przerażająca cyfra.

— A ja, com wracał do Paryża z taką otuchą.

— Moi złoci, z was był i pozostanie romantyk. Wiecie, śmierhć Orhlińskiego tak mnie wyprhowadziła z rhównowagi, żem przez pewien czas myślał pójść za jego przykładem.

— Troski, kłopoty. Nie wiecie czy hrabina Krebiz — Pratelowa jest teraz w Paryżu? Miałem przed moim wyjazdem dostać od niej parę zamówień.

— Jest w Paryżu, ale dajcie pokój, Żarhski nie chodźcie tam.

— Musieliście coś słyszeć.

— Wolę wam powiedzieć, niż. żebyście się narhazić mieli na przykrhość: Wyraziła się niedawno: „il s'est acoquiné on ne sait avec qui, on dit même qu'avec une juive“.

Żarki poczerwieniał, a potem zbladł ogromnie.

— Ktoby myślał: kobieta, która mię tak protegowała, obiecywała złote góry.

— Łaska pańska, moi drhodzy. Zrhesztą to łatwo zrhozumiałe: pókiście byli swobodni, taki piękny chłopiec ją interesował, a dziś... Ale, ale, słuchajcie: czyście co mieli ze Skalskim?

— Ja ze Skalskim? Aha prawda, poróżniliśmy się „à propos de bottes” kiedyś na ulicy. Bo co?

— To też on wam buty szyje, gdzie może ten krhetyn.

— Przeczułem w pierwszej chwili, że mi się postara przysłużyć, to zdaje się kiepski człowiek.

— Mówią, ja sam wiem zrhesztą, że mam zły język, jednak bym nigdy nie umiał szkodzić takiemu jak wy poczciwcowi. Ale niech was nie gniewa, wrhęcz powiem, że to poprostu niedołęstwo z waszej strhony, jeśli się męczycie: rhodicie takie piękne rzeczy, urządźcież wystawę u Drhuot albo Vollarhd'a.

Żarski się stropił.

— No tak, ale to kiedyś, później.

— Poco odkładać? Czemu później, kiedy wam terhaz trhudno.

— Bo... widziecie... trzeba kupę grosza na ramy, a ja na razie nie mam.

— To aż tak krhucho z wami?

Nie odpowiedział, ale pobladł jeszcze silniej.

Na rogu bulwaru Montparnasse i ulicy „Campagne Première“ Żarski pożegnał towarzysza.

(d. c. n.)

MARJA ŁOPUSZAŃSKA.

Powieść o dwuch mężach wodnych i jednym młynarzu.

Z podań łużyckich.

W onych czasach, kiedy to jeszcze dusze zmarłych po polach zawodziły, kiedy błędne ogniki wędrowców z drogi sprowadzały, w czasach kiedy różne strachy po polach i pustkowiach ludziom się ukazywały, mali ludkowie zazierali do chat nieraz, kiedy południce w zarze letniego południa przychodziły do tych, którzy pracowali na polach i groziły im śmiercią — w owych to czasach mężowie wodni, inaczej nyksy, albo wodniki, utrzymywali z ludźmi przyjazne stosunki. Co prawda, zdarzało się też, że wyrządzali oni różne psoty, a nawet zgoła wrogo bywali usposobieni, ale przyczyną tego najczęściej była dokuczliwość ludzka. W każdym razie nyksy i ludzie znali się z sobą wówczas bardzo dobrze.

Któż bo w rodzinnych swoich stronach nie wiedział o jakim stawie lub rzece, kędy niegdyś przebywał wodnik w sukni zielonej i czerwonej czapeczce? Kto, będąc dzieckiem, nie wystrzegał się tego lub owego głębokiego miejsca w rzece, gdzie mąż wodny ciągle czyha, aby uchwycić kąpiącego się za nogę i wciągnąć go w wodę?

Nie zawsze jednak, jak się wyżej rzekło, mężowie wodni byli tak źli; niegdyś zdarzało się często, że wodnik, wyszedłszy z rzeki, kładł się na brzegu i grzał na słońcu; czasem wskakiwał na wznak w wodę za nadejściem człowieka, czasem zaś pozwalał podejść do siebie blizko. Bywało, że siadał na starej, krzywej wierzbie i czesał swe zielonawe włosy lub latał w ubraniu. Zdarzało się też, że synowie lub córki męża wodnego przychodzili do wsi na tańce; dziewczęta były zazwyczaj piękne na schwał i w niczem nie różniące się od dziewcząt ludzkich — poznać je można było jeno po wiecznie mokrych rąbkach od sukienek. Synowie wodnika przychodzili nieraz na prządki i z pośród dziewczyn tam obecnych upatrywali sobie kochanki, które czasem nawet poślubiali. Z takich małżeństw rodziło się potomstwo pół ludzkie pół wodne, dla którego zaprawdę, miejsca nie było ni na ziemi, ni na wodzie.

Żona młynarza, Czarnego Piotra, pochodziła właśnie z takiego małżeństwa. Matką jej była piękna wodnica, ojcem chłopiec z wsi poblizkiej. Gdy dziecko przyszło na świat, matka-wodnica wyniosła je z głębi rzeki i położyła na brzegu; pewien rybak podniósł je i wychował razem ze swojemi dziećmi. Dziewczyna rosła i chowała się zdrowo, lecz zawsze coś ją ciągnęło do wody. Gdy podrosła, szła na brzeg rzeki, kładła się i patrzyła w głąb wody swemi zielonemi, jak toń oczyma. Największą jej zabawką było kołysać się w czółnie na rzece, lub kąpać się w jakiem odludnem miejscu. Nieraz odnaleźć jej było trudno, tak się gdzieś skryła w olszowe zarośla. Mawiano też o niej, że się schodzi pokryjomu z wodnikami i wodnicami i z nimi zawodzi pląsy na piasku nadrzecznym.

Niewiadomo o ile było prawdą to wszystko, co o niej mówiono — to pewna jednakże, że niebyła ona podobną do innych dziewcząt ze wsi. Nie dlatego by miała być brzydka lub niemiła— o nie — przeciwnie: oczy miała modro-zielone, duże, zadumane, podobne do rzeki spokojnej, kiedy się w niej odbiją drzewa i obłoki, twarz białą, włosy czarne, lśniące — lecz była jakaś dziwna, milczącą, jakgdyby wiecznie o czemś śniła, o czem nie chciała czy nie mogła opowiedzieć nikomu. Wreszcie ujrzał ją i pokochał młynarz, Czarny Piotr, który miał młyn własny pod lasem nad rzeką Czornicą. Co on sobie w tej dziewczynie upatrzył, nie wiadomo — na żonę dla niego wcale bowiem się nie nadawała; najpierw, że młynarz był znacznie od niej starszy, następnie, że wolała ona siedzieć nad rzeką niż krzątać się w izbie, jak na porządną gospodynię przystało.

Pierwsze dziecko, które przyszło na świat z tego małżeństwa, było bardzo dziwne: miało włosy zielonawe, a na ciele miejscami jakby łuski rybie. Młynarz patrzył na nie krzywo i nie mógł się przyzwyczaić do jego nóg pletowatych i do zielonych włosów, dla żony też ochłódł znacznie i często bywał dla niej szorstkim. Ona patrzyła nań swemi cichemi a głębokiemi oczyma i nic nie mówiła, jeno z każdym dniem stawała się coraz bardziej milcząca i zadumana.

Dziecko rosło zdrowo, ale niebardzo było podobne do ludzi. Nie wyłaziło prawie z wody, do której rwało się jak małe kaczę. Niebawem młynarzom urodził się drugi syn i córka, na które ojciec patrzył zupełnie innem okiem, niż na tamtego „przemionka“, jak począł zwać starsze dziecko. Bo też tamte dzieci były podobne zupełnie do młynarza, miały czarne włosy, śniadą cerę i brwi zrośnięte nad głęboko osadzonemi ciemnemi oczami.

Powoli wszyscy we młynie zaczęli starszego chłopca młynarzowego nazywać „przemionkiem“. Krył on się przed wzrokiem ojca po zaroślach nadbrzeżnych. Młynarzowa wybiegała zazwyczaj o zmierzchu i wywoławszy chłopca z łozy, wtykała mu kawał chleba z serem pokryjomu. Młodszy brat i siostra śmieli się z „przemionka“ i dokuczali mu nieraz, młynarz nie lubił go i nie taił się z tem, że nie uważa go za swoje dziecko, nic dziwnego też, że chłopak dziczał coraz badziej, wciąż krył się po zaroślach, lub siedział w czółnie na rzece i łapał raki i ryby na wędkę.

Raz siedząc tak nad rzeką, ujrzał grzebień porzucony na piasku, wziął go i schował, myśląc że zgubił go który z parobków z młyna. Aż tu nagle z rzeki usłyszał wołanie: „Chłopcze wesoły, oddaj mi moje czesadło!“ Nachylił się nad wodą, chcąc ujrzeć, kto to tak woła, a wówczas wysunęła się z tamtąd jakaś ręka i z rąk mu

grzebień ów pochwyciła, poczem z szybkością skryła się w wodę.

Przemionek często w owem miejscu widywał nadzwyczaj dużego karpia i nieraz chciał go pochwycić na wędkę, lecz zawsze karp tylko plusnął i natychmiast krył się na dnie, że ani go było dopatrzeć. Jednakże chłopiec postanowił złapać go koniecznie.

W pewne południe letnie, w niedzielę, kiedy wszyscy z młyna poszli do kościoła na sumę, chłopak leżał w trawie na brzegu wody, w miejscu gdzie las był najgęstszy a rzeka zakręcała się w podkowę. Na wodzie tańcowały roje złotych iskier, a drzewa odbijały się tak wyraźnie, jakgdyby tam na dnie był drugi las; wszystko dokoła spoczywało i zdawało się przeciągać leniwie, tylko owady brzęczały w ciepłem powietrzu.

Przemionek zarzucił wędkę i już udało mu się złapać kilka płotek i jednego szczupaka, gdy w końcu poczuł, że coś gwałtownie za sznurek szarpnęło, omal że się haczyk nie urwał. Pomyślał, że pewnie to owa duża ryba złapała się wreszcie i począł ciągnąć ku sobie, ale sam o mało nie został wciągnięty do rzeki. W końcu z wielkim wysiłkiem udało mu się wydostać ową rybę, był to rzeczywiście olbrzymi karp, lecz bez ogona.

Z radością wpakował go do saczka wraz z innemi rybami i rakami i chciał odejść do szałasu, który sobie opodal zbudował. Było to właśnie samo południe; słońce stało na środku nieba; daleko gdzieś słychać było dzwony kościelne, a gdy one ucichły, nastało w rzece wielkie pluskanie. To ryby nawoływały się na obiad: „Pójdźcie! pójdźcie! pójdźcie!“ Przemionek stanął i słuchał ciekawie. Skoro ryby się zgromadziły, poczęły się liczyć, czy są wszystkie. Naraz rozległo się wołanie: „Wielka rybo bez ogona, gdzie jesteś? wielka rybo bez ogona, gdzie jesteś?“ A wówczas wielka ryba w saczku Przemionka na całe gardło zawołała:

Jestem w saczku
Przy szczypiącym raczku!

Przemionkowi wydało się to trochę dziwnem; chciał uciekać, gdy nagle przystanął, gdyż ujrzał że z saczka, zamiast wielkiej ryby bez ogona wylazł człowieczek w zielonej sukni i w czerwonej czapce na głowie. Około nóg plątało mu się sitowie i wodorosty a z sukni sączyła się woda.

— No, cóż, udało ci się w końcu złapać Nykusa? he! he! he! — zaśmiał się człowieczek, spoglądając na chłopca przymrużonem, na pół sennem okiem.

— Wybacz, Nykusie, ja nie wiedziałem, — bąknął chłopiec przelękniony.

— No, no, nie szkodzi, — rzekł Nykus dobrodusznie. — Ale słuchaj wypuść jeszcze tego jednego szczupaka, bo to mój parobek. A teraz pójdziem i usiędziem sobie na słoneczku w trawie, gdzie ćwierkają koniki polne, później rozpalimy ogień i ugotujemy obiad, będzie wyśmienity, obaczysz.

I tak została zawarta przyjaźń pomiędzy Nykusem a Przemionkiem. Spotykali się często na brzegu rzeki, łowili ryby na wędkę i gotowali je w kociołku. Nykus czasami piekł sobie żabę na patyku, lecz za nic nie mógł nakłonić chłopca do skosztowania tego przysmaku. Zresztą było im dobrze z sobą.

Mądrością wedle ludzkiego rozumienia Nykus nie odznaczał się bynajmniej.

Pewnego razu młynarz, chcąc żeby mu najpiękniejsze liny, pstrągi i węgorze nie uciekły na rzekę, przed stawidłami postawił grzebień młyński. Nykus niewiedział co to takiego, podpłynął tedy bliżej młyna, obejrzał i omacał grzebień, w końcu rzekł: „Wiem, co to jest—to jest grzebień, uczeszę sobie nim włosy.“ Wyrwał go, a wnet woda padła na koło, a ponieważ nie było zamknięte, młyn począł strasznie hałasować; młynarz, który tylko co siadał do wieczerzy, rzucił łyżkę, wybiegł z izby i zasunął stawidła. Ujrzał wtedy, jak Nykus stojąc przez pół w wodzie, grzebień młyński przeciągał przez włosy a spostrzegłszy młynarza, dał nurka w wodę.

(d. c. n.)

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75
Za granicą i za oceanem „ „	„ „10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa”. Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliszczyńska.

Redakcja i Administracja: **Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.**

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.